

Stanisław Gębala
Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej

Jezus ośmieszony?

[Leszek Kołakowski, *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014, ss. 128]

Pierwsza część tytułu dość szczupłej książki Leszka Kołakowskiego: *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny* wręcz domaga się znaku zapytania. Być może, sam autor postawiłby go, gdyby zdecydował się na publikację tekstu w połowie lat 80. ubiegłego wieku, kiedy go napisał. Niestety, jak się dowiadujemy z posłowie Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP, esej nie został ukończony, a odnaleziono go prawie po trzydziestu latach wśród niepublikowanych rękopisów filozofa.

Posłowie zaczyna się pytaniem: „Kto tu jest »ośmieszony«?”, na które pada nieco dalej taka odpowiedź: „ośmieszony nie jest Jezus, ale ci którzy Go mają za śmiesznego” (s. 118). A kim są „ci”, dowiadujemy się z dość długiego wyliczenia już na samym początku eseju:

O Jezusie przeczytać można, co tylko się chce.

Po pierwsze, że nigdy nie istniał.

Albo że, owszem, istniał, ale nie został ukrzyżowany; ktoś inny zawisł na krzyżu zamiast Niego.

Albo że został ukrzyżowany, ale nie umarł na krzyżu; ocknął się w grobie, skąd wyszedł, by umrzeć kilka dni później.

Albo że ożenił się z Marią Magdaleną i miał dzieci.

Albo że, jeśli przyjrzeć się bliżej, był trockistą lub zwolennikiem Fidela Castro.
 Albo że był po prostu tylko żydowskim nacjonalistą.
 Albo że był przybyszem z innej galaktyki.
 Albo że był homoseksualistą, a święty Jan Apostoł był jego kochankiem.
 Albo że był Murzynem.
 Albo że nie miał określonej płci, tylko był jednocześnie mężczyzną i kobietą (a więc, prawdopodobnie, hermafrodytą).
 Albo że był istotą bezcielesną. (s. 7–8)

I zaraz w następnym zdaniu autor stwierdza, że to wszystko zupełnie go nie interesuje. A co go interesuje? Nawet nie to najważniejsze z pytań: czy był Bogiem?

Czy był Bogiem? Nie mam pojęcia. Ale jeśli jakiś Boży człowiek żył kiedykolwiek na tej ziemi, to był nim On.

W przesłaniu Jezusa jest przynajmniej jedna rzecz, która nie wzbudza wątpliwości i nie jest kontrowersyjna: to, że całe Jego życie i całe nauczanie toczy się w cieniu dnia ostatniego, dnia nieuchronnego Sądu. Bez tego apokaliptycznego oczekiwania niczego w chrześcijaństwie nie da się zrozumieć (s. 12).

Oto jedna z kwestii najbardziej interesujących autora: jak ów „cień dnia ostatniego” kształtuje również nasze – współczesne – widzenie świata? Kłoczowski poprzedza przytoczenie odpowiedzi filozofa następującym stwierdzeniem, w które wpisuje wart zapamiętania oksymoron: „Kołakowski jest surowy (a wielu powie z pewnością, że okrutny) w swym czarnym jasnowiedzeniu [...]” (s. 130):

„Przyswojenie sobie apokaliptycznego sposobu patrzenia na świat jest prawdopodobnie warunkiem, aby rasa ludzka mogła przeżyć i uniknąć apokalipsy samozagłady, wielkiego Końca, który sama sobie przygotowuje” (s. 20).

Przypomnijmy, że wizja samozagłady przez pierwsze dziesięciolecia po II wojnie światowej budowana była wokół – niesłychanie realistycznie i sugestywnie przedstawianego zarówno w propagandzie politycznej, jak i kulturze masowej – atomowego grzyba. Groza tego wyobrażenia właściwie czyniła bezprzedmiotową analizę przyczyn, które mogłyby do takiego kataklizmu doprowadzić, skoro mógł on nastąpić w każdej chwili i z każdego powodu. Tymczasem owe przyczyny z biegiem powojennych lat zaostrzały się, nabierając równocześnie coraz większej wyrazistości – i oto w połowie lat 80. Leszek Kołakowski określa je najprościej: to „nasza rozpaczliwa za-

chłanność, ciągle rosnąca spirala potrzeb”. Po upływie następnych dwóch dekad (mniej więcej) Zygmunt Bauman przedstawi sytuację ludzkości w sposób równie prosty i obrazowy stwierdzając, że pełne zaspokojenie potrzeb mieszkańców Ziemi (których liczba w międzyczasie znów wzrosła o kolejny miliard czy półtora) wymagałoby zasobów pięciu takich planet. Bauman raczej nie moralizuje, nie używa słów „samozagłada” czy „apokalipsa”, którymi jeszcze posługiwał się Leszek Kołakowski, dramatycznie podnoszący niekiedy głos: „Czyż nie jest tak, że – jak wszyscy widzą – nasza rozpaczliwa zachłanność, ciągle rosnąca spirala potrzeb, nasze oczekiwania, iż wszyscy, łącznie z najbogatszymi, nie tylko mamy prawo, by mieć coraz więcej wszystkiego, ale rzeczywiście mamy coraz więcej – że to wszystko doprowadziło nas do punktu, w którym skumulowane napięcie spowoduje przerażającą katastrofę?” (s. 23).

Trzydzieści lat temu autor mógł się jeszcze łudzić, że tak mocne słowa były w stanie wstrząsnąć czytelnikami, a przynajmniej skłonić do refleksji – ale w ciągu tych trzech dekad dokonaliśmy swoistego „oswojenia” apokalipsy, czyniąc ją choćby tematem niezliczonych filmów katastroficznych. Grzyb atomowy zastąpiły w nich kataklizmy atmosferyczne, trzęsienia ziemi, asteroidy uderzające z kosmosu – krótko mówiąc najpoważniejsze zagrożenie, wobec którego stoi ludzkość, zostało zbanalizowane i zinfantylizowane.

Czy zresztą życie w „cieniu dnia ostatniego” może być inne? Czy możliwe jest życie w nieustannym napięciu intelektualnym i moralnym? Nawet filozof nie byłby w stanie go znieść, jeśli nie chciałby podzielić losu Fryderyka Nietzschego – i czytelnikowi eseju może się nasunąć podejrzenie, iż autor przerwał jego pisanie zmęczony tym napięciem. Ale może było właśnie odwrotnie: przywołał postać Jezusa, żeby je rozładować?

Prawie na każdej stronie przekonuje, że Jezus jest nam niezbędny, że nie zdołamy ocalić naszej cywilizacji, odrzucając Jego nauczanie; rozróżnienie dobra i zła, pojęcie prawa boskiego i prawa naturalnego. Najpierw musimy jednak spełnić pewien warunek – **uwierzyć**:

„Jezus nie pozostawił żadnego prawa dla państw, żadnej reguły dla świeckich instytucji; powiedział tylko, co każdy z nas z osobna ma robić, jak odróżniać dobro od zła; w rozmowie z diabłem rzekł, że służyć trzeba tylko samemu Bogu (Łk 4, 8), a wszystko to powiedział jako zwiastun słowa Bożego. Jego nauczanie nic nie jest warte, jeśli nie wierzy się w to, że Jezus jest Chrystusem, że śmiertelny i cierpiący człowiek naprawdę posiadał Słowo” (s. 51).

Ba! Uwierzyć... Tylko tyle. Najczęściej znaczy to: odzyskać wiarę, którą się utraciło. Jakie to trudne, nie dowiemy się jednak z eseju Kołakowskiego –

trzeba raczej sięgnąć do poezji; choćby do wiersza Tadeusza Różewicza *bez*, w którym refrenowo powtarza się dwuwiersz: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe”.

Powróćmy do cytowanego już tu pytania: czy Jezus był Bogiem? Kołakowski udzielił na nie jakby tylko połowy odpowiedzi: „Nie mam pojęcia” – co znaczy po prostu: nie wiem, ale także znaczy jeszcze coś więcej: tego nie mogę **wiedzieć**. Dlaczego? Bo to jest kwestia wiary, a nie wiedzy – i druga połowa odpowiedzi (pominięta zapewne z powodu jej oczywistości) powinna brzmieć: ale wierzę (albo: nie wierzę).

Ten prosty podział: to **wiem**, a w to **wierzę**, wydaje się nader wyrazisty. Wiedza od wiary zdaje się być oddzielona dobrze widoczną granicą, którą możemy przekraczać w jedną lub drugą stronę. Czasem przekraczamy ją mówiąc: „już nie wierzę”, „straciłem wiarę”, albo jak korespondentka Witolda Gombrowicza, cytowana w jego *Dzienniku*: „nie chcę wiedzieć nic, nic, nic, chcę tylko wierzyć”.

Kołakowski tę granicę konsekwentnie zaciera, wykazując choćby niemożność stworzenia systemu prawnego na gruncie samej wiedzy. Jak zdefiniować dobro i zło bez odwołania się do prawa Boskiego, a przynajmniej do prawa naturalnego? Przeczytajmy uważnie wywód poprzedzający przytoczony wyżej fragment:

Prawa naturalnego nie da się jednak odkryć w naturze; gdyby stworzyła je natura, prawo to działałoby jak grawitacja, i to w stosunku do wszystkiego, co żyje – zakładając, że natura jest taka, jaką poznają nasze oczy, logika i matematyka. Jeśli natura nie wytwarza rozróżnienia dobra i zła, sprawiedliwego i niesprawiedliwego, prawo naturalne może być tylko prawem boskim. Jeśli nie ma prawa boskiego, rozróżnienie dobra i zła może być ustanowione jakimkolwiek dekretem, przez kogokolwiek i przybrać jakimkolwiek sens. Oczywiście istnieje prawo boskie, prawo, które poprzedza nasze prawa” (s. 50).

Zauważmy, że bardzo niebezpieczne słowo „jeśli” (warto przypomnieć, iż lord Hastings zapłacił za nie głową w *Tragedii Ryszarda III* Szekspira), wyrażające wątpliwość, zostało tu natychmiast zneutralizowane przez – nie tylko rozwiewające wszelkie wątpliwości, ale i wyrażające niewzruszoną pewność – „oczywiście”. Czy wystarczy ono dla rozwiania wątpliwości czytelnika? To bardzo istotne pytanie, gdyż, jak pisze Kołakowski:

„Do doświadczenia moralnego mamy dostęp tylko poprzez słowo przekazane osobiście – przez Boga, proroka, mistrza, kapłana, ojca lub matkę” (s. 31). To stwierdzenie może wtrącić nas w jeszcze głębszy pesymizm, wskazuje bowiem jakby równię pochyłą, po której stacza się nasza moral-

ność; utrata wiary w słowo Boże pociąga za sobą nieuchronnie kryzys wszelkich autorytetów.

Poszukiwanie Nauczyciela jest więc naszą życiową koniecznością (i znów trudno obejść się bez poezji: „Szukam nauczyciela i mistrza / niech przywróci mi wzrok słuch i mowę” – pisał Tadeusz Różewicz tuż po II wojnie światowej w słynnym wierszu *Ocalony*). Ale my musimy odnaleźć tego jednego jedyne Nauczyciela, który stworzył podwaliny naszej cywilizacji, a którego często nie znajdujemy w Jego własnym Kościele. Kołakowski bywa niekiedy sarkastyczny, pisząc:

Po co nam chrześcijaństwo, jeśli jest tylko politycznym lobby? [...] To dziwne, to bardzo dziwne, że w chrześcijaństwie wszyscy chcą znaleźć własnie Boga. Jeżeli Go nie znajdują, odchodzą, żeby szukać gdzie indziej. [...] Poszukujący zwrócą się ku medytacji transcendentalnej, mądrości Wschodu, naukom buddyjskim, wiedzy tajemnej (s. 34–36).

Napisany przed trzydziestu laty esej nabiera miejscami wymiaru przepowiedni, która spełnia się niepokojąco szybko. Ale równie ciekawy jest we fragmentach poświęconych dialektyce *sacrum* i *profanum* (autor, rzecz jasna, nie używa pojęcia „dialektyka” skompromitowanego i – co gorsza! – ośmieszonego w pierwszej połowie XX w.; ale przywołuje zasadę „jedności przeciwieństw”), rozdziałowi Kościoła i państwa czy próbom „demitologizacji” chrześcijaństwa, które czyni tematem dialogu Apologety i Sceptyka, demonstrując mistrzostwo w tym gatunku pisarstwa filozoficznego, posiadającym tradycję tkwiącą korzeniami w głębokiej starożytności. Z równym zainteresowaniem czytamy streszczenie autentycznej dyskusji, którą toczyli w latach 1953 i 1954 teolog Bultmann z filozofem Jaspersem. Przejmująco pisze także o naszym „przebudzeniu” po wiekach:

Po wiekach rozkwitu oświecenia obudziliśmy się nagle pośród kulturowego i umysłowego zamętu, przerażeni, wobec świata, który – jak się wydaje – traci swoje religijne dziedzictwo. Nasz strach jest całkowicie uzasadniony. Utracone mity zastępowane są nie przez oświeconą racjonalność, ale przez przerażające świeckie karykatury mitów” (s. 100).

Ta diagnoza naszej współczesności czyni w pełni zrozumiałą fascynację filozofa początkami chrześcijaństwa:

Im bardziej usiłujemy poznać historię pierwotnego chrześcijaństwa, tym mniej ją rozumiemy. Takie jest przynajmniej doświadczenie niżej podpisane-go. Reformator religijny z małego, ciemnego plemienia, pogardzanego przez wielkich i uczonych, żyjącego na peryferiach cesarstwa rzymskiego, stał się

symbolem duchowym *par excellence* najpotężniejszej i najbardziej twórczej (niekoniecznie najbardziej cnotliwej) cywilizacji świata i jest ciągle, po dwóch tysiącach lat, światłem tej cywilizacji oraz, przynajmniej moralnie, jej znakiem rozpoznawczym – nikt mnie nie przekonał, że da się to prosto wytłumaczyć, chociaż znam proponowane tłumaczenia. To, że Jego nauki moralne, obelżywe i niesłychane wyzwanie rzucone światu, zawładnęły tym światem – nominalnie, to prawda, ale więcej niż nominalnie – jest niepojęte. To, że ze słabych, pozbawionych ozdób rąk galilejskiego Żyda wyłonił się nowy wszechświat, jest niepojęte, jeśli próbujemy spojrzeć z perspektywy Jego epoki (s. 105–106).

Lektura eseju Kołakowskiego jest tak wciągająca, że pisanie o nim łatwo może ulec pokusie mnożenia cytatów, co i mnie się (jak widać) przytrafiło. Podpiszę więc niniejszy tekst nie jako jego autor, lecz jedynie kompilator cytatów. Dodam jeszcze tylko ostatni:

„Korzeniem tej przemiany – świat chrześcijański zawsze był zgodny w tym punkcie – jest miłość”.